

Kilka refleksji na marginesie książki Marcina Króla *Europa w obliczu końca*

Przeczytałem mądrą książkę Marcina Króla *Europa w obliczu końca*. Trudno się nie zgodzić z jej tezami, zaprezentowanymi w postaci wywiedzionych z historii idei dylematów i sprzeczności. Opozycyjne wątki organizujące myślenie w Europie o religii, racjonalności, demokracji i liberalizmie podane zostały z dużą swobodą i erudycją. Wiele myśli tej książki odpowiada także moim intuicjom. I mnie także zdaje się, że demokracja i wolność oparta na indywidualizmie nie idą w parze, zaś racjonalność ekonomiczna i polityka niekoniecznie sprzyjają tworzeniu Europy.

Znaczenia wolności

Zacznę od wolności. Nie jestem filozofem, ale przecież jak wielu innych zastanawiam się, co mi wolno, co wolno innym i jak być powinno w tych sprawach. Jestem w tej dziedzinie praktykiem, ale przecież wiedza o wolności to wiedza jak najbardziej stosowana. Wolność dla praktyka ma znaczenia kontekstowe wyznaczone przez kulturę, style życia, wreszcie ustrój i wraz z nimi zmienia swoje znaczenia. Za „moich czasów”, za socjalizmu, wolność kojarzyła się z posiadaniem paszportu, trochę z cenzurą¹, z możliwością wyjazdu na Zachód, z koniecznością meldowania się w nowym miejscu dzień po przyjeździe, z Milicją Obywatelską, z UB i z kilkoma innymi podobnymi rzeczami. W „Solidarności” wolność, zwłaszcza wolność jednostki, jak mi się zdaje, nie była hasłem wysuwany na pierwszy plan. Jeżeli już, to domagano się (domagaliśmy się) wolności grupowej, samostanowienia... Kiedy w 1985 roku wyjechałem na roczne stypendium do USA, uderzyło mnie jak wiele wolności mieli tam ludzie (w Europie Zachodniej się tego nie czuło) i jak ważny to był dla nich temat w planie prywatnym, osobistym. Jak obecny w kulturze masowej, w piosenkach country, w filmach drogi. Kiedy kogoś zapytałem, szukając jakiegoś miejsca, czy mam iść w prawo czy w lewo, odpowiedział mi żartobliwie: *do what you want*

¹ Ale był to brak wolności odczuwany jedynie przez nielicznych.

to do – it's a free country. W Ameryce kontekstem dla wolności była podróż, ruszanie w drogę, z kolei miłość postrzegana bywała jako zniewolenie², chociaż przecież miłość może być spełnieniem, ustanowieniem sensu w czymś życiu, a więc ważną częścią realizowania się autonomii i wolności. Dla ludzi Jarosława Kaczyńskiego nie ma teraz wolności dla Polaków, będą dopiero wolni w wolnym kraju, wolnej Polsce³. Rozumiem to jako delegację wolności indywidualnej na poziom narodu czy państwa. Jego obywatele uzyskują wolność (pełniejszą autonomię) dopiero przez uczestnictwo w samostanowieniu zbiorowym, w tworzeniu wolnej Polski, samodzielnej i niezależnej od Rosji i Niemiec. Dla mnie, a może i dla innych Polaków, w dzieciństwie wolność kojarzyła się z Dzikimi Polami z powieści Henryka Sienkiewicza. Dziś nie wiedzieć czemu takimi Dzikimi Polami, takim wyobrażonym terenem poszerzania wolności, nowym obszarem wolności wydaje mi się internet⁴. Dzięki niemu można być w każdym czasie wszędzie, wszystko kupić, sprzedać i wymienić⁵, dowiedzieć się wszystkiego o wszystkim (choć niekoniecznie prawdę), wtrącać się do wszystkiego i prawie każdemu nawymyślać bez obawy, że dostaniemy po mordzie.

Tak czy owak, w moim odczuciu mamy tak dużo wolności negatywnej, że aż jej za dużo. A jednak wolność indywidualna zdaje się ważniejszym niż za „Solidarności” tematem; ciągle mówi się i pisze, że jest zagrożona i jak ją poszerzać, przy czym z pewnych powodów jej poszerzanie, a także zagrożenia kojarzone bywają często z internetem. Trzeba przededefiniować wolność. Wolność nie może być (nie powinna być – moim zdaniem) celem samym w sobie. Jest to wartość służebna i instrumentalna. Wolność to autonomia w nadawaniu życiu sensu; w planowaniu i tworzeniu swojego życia w zastanych (i danych) warunkach. Części ograniczeń nie można usunąć, trzeba je raczej poznać i zaakceptować („wolność to zrozumienie konieczności”). Człowiek potrzebuje wolności, by zrobić coś sensownego ze swoim życiem, by robić coś, z czego będzie zadowolony. A najczęściej jest zadowolony, kiedy zadowoleni z niego są inni, kiedy robi coś, co mógłby zabrać ze sobą „na tamten świat”, a przynajmniej (jeśli jest niewierzący) z czym mógłby umierać⁶. A umierać trzeba z myślą, z przykrą myślą, że my odchodzimy, a świat zostaje i będzie trwać, i trwać może bez końca,

² Na przykład: „*unchain my heart, set me free*” śpiewał Ray Charles.

³ Śpiewy „pod krzyżem” na Krakowskim Przedmieściu: „*wolną Polskę racz nam wrócić Panie...*” Dodam przy okazji, że tę retorykę uważam za degenerującą i niszczącą sferę publiczną.

⁴ Oczywiście okropnym wyjątkiem jest tu poczta elektroniczna, która wraz z komórką człowieka-amatora wolności w sieci trzyma na coraz krótszej smyczy niechcianych kontaktów i zobowiązań.

⁵ Istnieje portal (bodaj o nazwie „*tingo*”), gdzie można wymienić na przykład krzesło na buty narciarskie.

⁶ Maksymalizacja przyjemności, pieniądze, podróże, a nawet do pewnego stopnia przekonanie o spełnionym życiu to nie są te niezbędne rzeczy, które pakujemy do walizki, kiedy wybieramy się na „tamten świat”.

a może jeszcze dłużej. Liczy się to, co pozostawiamy po sobie. A to, co pozostawiamy po sobie, powinno mieć jakiś sens. Sens wedle znaczeń przypisywanych życiu przez innych. Znaczących innych – bo tu potrzebna jest hierarchia i respekt dla znaczeń oraz sensów tworzonych przez innych. Wolność to nie damskie majtki, które można rozciągać w nieskończoność i dopasować do każdego ciała z jego rozmiarem i kształtem. Czy nie lepiej zastępować słowo „wolność” „autonomią”, która bliżej kojarzy się z godnością, podmiotowością i pracą nad usensownianiem życia? Czasem zabiegi semantyczne zmieniają historię idei. Zanim opuszczę teren wolności dodam jeszcze, że jedną z najgorszych par ideowych, jednym z najgorszych skojarzeń jest kojarzenie wolności z indywidualizmem. Indywidualizm to prawo do bycia innym, to przekonanie, że każdy⁷ jest bytem osobnym, wyjątkowym i ma prawo, by żyć wedle swojego sensu i planu. Według przez siebie ustanowionych miar i wartości. Indywidualiści potrzebują więcej wolności dla konstruowania swojego sposobu życia. Trudniej im się ze sobą porozumieć i trudniej współpracować. Indywidualiści żyją raczej obok siebie niż ze sobą, bo bycie ze sobą oznacza zachodzenie na siebie indywidualnych sfer wolności, gdzie to, co chce się robić, trzeba uzgadniać z partnerem. Internet bardzo wspiera indywidualizm. Podobnie rynek odwołuje się do indywidualizmu klienta, bardzo go rozwija i wzmacnia. „Jesteś wyjątkowa i zasługujesz na to” – reklamuje się jedna z firm kosmetycznych, sprzedających perfumy. I wszystkie panie, które czują się wyjątkowe, szczególne i wartościowe potem pachną tak samo. W wielu samochodach jest już odrębna klimatyzacja dla kierowcy i dla pasażera. Indywidualizm utrudnia porozumiewanie się i współdziałanie, chociaż zapewne wspiera dążenia i roszczenia związane z wolnością, równością i prawami człowieka. Indywidualista nawet jeśli w wolnym, podmiotowym, odruchu postanowi realizować się w działalności charytatywnej to chce pomagać innym na własny, jednostkowy i szczególny sposób. Indywidualista to ktoś, kto sam siebie wymyśla, przy czym coraz mniej warunków i okoliczności życia uznaje za dane i przypisane mu, coraz więcej przesuwając do sfery wolnego wyboru. Indywidualista ma własne cele, wartości i hierarchie niekoniecznie zbieżne z hierarchiami innych. Dlatego w świecie indywidualistów coraz mniej jest wspólnie uznawanych wartości i hierarchii. Konsekwentnie pojmowany indywidualizm prowadzi w stronę normy życia autentycznego, zgodnego z jakimiś wewnętrznymi, niepowtarzalnymi regułami. Dlatego prawdziwy indywiduista wsłuchuje się w swoje głosy wewnętrzne, zagląda w siebie i tam szuka prawdy, chociaż tam najczęściej nic nie ma.

Istnieją dwa poziomy indywidualizmu. Pierwszy, słabszy, pojawia się, kiedy planujemy siebie, wymyślamy swoje strategie, wykorzystując i respektując istniejące reguły postępowania, normy i wartości. Także część istniejących wzo-

⁷ A może nawet nie „każdy”, tylko ja jestem wyjątkowy, szczególny.

rów zachowań wstawiamy do zestawu warunków określających nasze działania. Na wyższy poziom indywidualizmu przechodzimy wtedy, kiedy odrzucamy znaczną część norm, ról i wzorów określających dane pole działania. Jest to poziom „artysty-nowatora”. Indywidualista tego pokroju jest bardziej zorientowany na siebie, pielęgnację swojej autentyczności⁸, wartości wspólne wszystkim ogranicza do niezbędnego minimum. Jeżeli taki indywiduista jest skłonny przyznawać innym takie same prawa jak sobie (ale przecież nie musi tak być), wówczas wspólne dla wszystkich i wszystkich obowiązujące normy redukują się do wolności, równości. Postulat autentyczności zobowiązuje do tego, by żyć „w zgodzie ze sobą”⁹, odrzucając wszystkie normy i wzory, które w tym przeszkadzają.

Jednak nie wszyscy przecież mogą i powinni żyć jak artyści. Nie wszyscy mogą i potrafią tworzyć coś autentycznego i wartościowego. Nie jest to model dla wszystkich, nawet jeśli tak bardzo sugeruje się to w mediach i reklamie. Co więcej, nie każdy twórca, nie każdy uznany artysta musi być nowatorem, obrazoburcą, przełamującym obowiązujące kanony. A jednak w wypowiedziach krytyków lepszych i gorszych jak mantra powtarzane jest kryterium nowatorstwa „wypowiedzi artystycznej”, bycie na pograniczu dziedzin, poza mainstreamem... Transgresja w sztuce, przełamywanie barier i kanonów, których dawno już nie ma, staje się działalnością coraz bardziej banalną i nudną. I co gorsza, odrywa to sztukę od przygotowanego nawet odbiorcy¹⁰. Ale mniejsza o sztukę. Niech sobie z nią będzie jak chce. Problem w tym, że coraz więcej indywiduistów we współczesnym wydaniu chce żyć i spełniać się jako artyści, jako wielcy twórcy. Demokratyzacja, upowszechnianie się takiego wzoru nie zdaje się najlepszym pomysłem. Kiedy wszyscy zaczną się realizować i spełniać na swój jedyny i szczególny sposób, świat się posypie i rozleci. Nawet Facebook może tego nie wytrzymać¹¹. Rynek i reklama wspierają jakiś pas-

⁸ Ch. Taylor, *Etyka autentyczności*, tłum. A. Pawelec, Znak, Kraków 2002.

⁹ W gruncie rzeczy nie wiadomo, co to znaczy: może nie znaczyć nic albo oznaczać zajęcie na całe życie. I dużo pracy nad sobą, jeśli przez autentyczne życie rozumieć wypracowanie sensu dla swojego życia i kierowanie się tym w swoim postępowaniu.

¹⁰ Kiedy oglądamy obrazy, powiedzmy Caravaggia, Vermeera czy Rembrandta, i odbieramy je jako wielką sztukę, rejestrujemy ich piękno czy trafność w odwzorowaniu jakichś cech życia, to nie myślimy przede wszystkim o nowatorstwie, przełamywaniu kanonów. Ewentualna refleksja o warsztacie przychodzi później, choć nie jest konieczna. Coś odbieramy jako sztukę poprzez wrażenia estetyczne, odczucie piękna, które może pojawić się także przy oglądaniu krajobrazu, jeziora, morza, gór (Nabokov napisał, że sztuka to piękno i smutek). Żadne przełamywanie kanonów nie jest tu potrzebne. Nowatorstwo, transgresja to są rzeczy dla krytyków, których jest stanowczo za dużo, którzy mówią stanowczo za dużo i dla których sztuka nie jest i nie powinna być tworzona.

¹¹ Kiedy piszę o wolności i indywidualizmie, przychodzi mi na myśl Wojciech Karpiński, eseista i pisarz dużego formatu, niestety mniej już obecny na scenie publicznej. W czasach komunizmu jedną z jego zasług było pisanie o twórcach emigracyjnych, między innymi Miłoszu, Gombrowiczu, Czapskim. Ich czytanie – na co kilkakrotnie zwracał uwagę w swoich tekstach –

kudny typ indywidualizmu, który przy całej swojej jednostkowej, artystycznej niepowtarzalności i wyjątkowości najlepiej spełnia się w supermarkecie.

Autonomia i przypisanie

Wolność jest ograniczona przez wszelkie cechy przypisane, dane z góry, autonomia chyba niekoniecznie. Małżeństwo jako związek na całe życie, obowiązkowa służba wojskowa, narodowość, język, etapy życia, młodość, starość i dojrzałość, płęć i wiele innych ról społecznych ograniczają naszą wolność. Ale dla autonomii część właściwości życia społecznego uznawana za zadane, przypisane ograniczenia stanowią tworzywo i narzędzia tworzenia sensu. Można je reinterpretować. Ale trzeba je raczej rozumieć i analizować, niż kwestionować i odrzucać. Wielkim pytaniem staje się pytanie o tradycję: czy trzeba ją poznawać, rozpoznawać i rozumieć, by ją szanować lub odrzucić? W naukach ścisłych i przyrodniczych nie ma historii i tradycji. Są pytania i problemy do rozwiązania. Nie liczy się kto je sformułował wcześniej. Jeśli jest w matematyce problem nierozwiązany, to trzeba go rozwiązać, i prawie nieważne dla nauki jest kto ów problem wcześniej stawiał. Czy Pitagoras, czy Protagoras. W naukach społecznych, kiedy pytamy o wolność, kiedy chcemy poprawiać demokrację, sięgamy na przykład po książkę Sartoriego¹². Sartori

miało dawać wolność; prowadziło do „ustawienia języka” jako narzędzia swobodnej (czyli jakiej?) wypowiedzi. Język prasy komunistycznej, reżimowej, ale i pisarzy żyjących pod komunizmem, takich możliwości nie stwarzał, odbierał wolność. Kiedyś, kiedy miałem zaszczyt i przyjemność rozmowy z Wojciechem Karpińskim, zapytałem go jak i dlaczego kojarzy mu się wolność z „ustawianiem tonu” i „czystością języka” polskich pisarzy emigracyjnych. Uśmiechnął się uprzejmie, ale nie odpowiedział. Tak jakby pytanie było trochę niestosowne. Zgodnie z moim myśleniem i nomenklaturą tu sugerowaną chodziłoby mu (choć może się myłę) nie tyle o wolność, ile o autonomię, która realizuje się lepiej, kiedy posługujemy się „lepszymi narzędziami”, czyli lepiej ustawionym językiem. Autonomia to wolność w tworzeniu sensu dla własnego życia. Jednak sensu – że powtórzę w przypisie to, co powiedziano już wcześniej – wypracowywanego przez odwoływanie się do znaczeń stworzonych przez innych. Znaczących innych. Dla profesora Króla – jeśli dobrze odczytuję myśli tego znakomitego akademika i publicysty – owe „narzędziownie” tworzy historia idei kultury euroatlantyckiej i judeochrześcijańsko-antycznej; dylematy religii i racjonalności, liberalizmu i utylitaryzmu czy w demokracji – równości i elitaryzmu. To są znaczenia wypracowywane w naszej kulturze, z których dziś jednostka autonomiczna musi skonfigurować własny sens, swoje rozumienie sensu życia i wolności. Kiedyś historia idei to były przede wszystkim dyrektywy myślenia dla elit i dla władzy przede wszystkim. Dziś – w dobie szalejącej demokracji i panoszącego się ponad miarę indywidualizmu – takie zobowiązanie do przypisywania swojemu życiu sensu schodzi w dół drabiny społecznej. Jest to dziś właściwie zobowiązanie dla każdego. Kiedyś przepisem na życie była religia katolicka (lecz już nie protestantyzm). Katechizm niemal jak książka kucharska podawał co dobre, co złe, co jest grzechem ciężkim, co lekkim, jak uzyskać rozgrzeszenie i pójść do nieba. Dziś nawet dla wierzących religia już nie pełni tej roli.

¹² G. Sartori, *Teoria demokracji*, tłum. P. Amsterdamski, D. Grinberg, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1998.

zaś, pisząc o wolności i demokracji, odwołuje się i powołuje między innymi na Rousseau, Arystotelesa i na jeszcze wielu, wielu innych – na klasyków. Bez wątpienia analiza i identyfikowanie znaczeń rozmaitych idei i koncepcji jest kanonem w naukach społecznych. Nadal jeszcze każda niemal praca magisterska czy licencjacka we wstępie przedstawia przegląd definicji i rozumienia przez innych wykorzystanych w pracy pojęć. Zastanawiając się nad tym, czym jest wolność i jak poprawiać demokrację, zawsze warto zapytać, co o tym myślą inni, znaczący inni. I warto analizować jak w historii, w dziejach stabilizowały się i ewoluowały znaczenia wolności i demokracji, chociaż nie miało to wielkiego znaczenia dla przeciętnych ludzi współczesnych i ówczesnych, zaś wolność i demokracja, zwłaszcza wolność, znaczyły w czasach antycznych coś zupełnie innego¹³. Bez takich analiz i identyfikowania znaczeń nie byłoby pewnie historii filozofii i historii myśli społecznej. Nie byłoby także książki profesora Króla o końcu Europy, choć koniec Europy może się zdarzyć i tak.

Wydaje mi się, że ów kanon analizy historycznej, stabilizowania i legitymizowania znaczeń przez powoływanie się na klasyków traci na znaczeniu w naukach społecznych, w socjologii przynajmniej. Dziś, w czasach demokratyzacji i umasowienia studiów, nauki społeczne coraz bardziej upodabniają się pod tym względem do nauk ścisłych. Tyle że problemy stają się przez to mniej wyraźne, bardziej arbitralne, łatwiejsze do przeciwnych interpretacji i interpretacyjnych nadużyć. W dobie umasowienia studiów, studentom coraz trudniej odróżnić Kowalskiego od Kanta, a Kanta od Kopernika. Zapewne wpływa na to rosnąca w szalonym tempie liczba publikacji, nurtów i dyskursów umiejscawianych – demokratycznie – na równym statusie. Zapewne też sprzyja temu przesadna demokratyzacja nauk społecznych wspierana teoriami przemocy symbolicznej, władzy dyskursu i mainstreamingu¹⁴.

Gospodarka

Mam w domu trzy zbędne laptopy. Mają przyzwoite, wystarczająco szybkie procesory i dość pamięci do działania odpowiadającego wielu użytkownikom komputerów i internetu, ale uznane zostały za przestarzałe. Jeżeli spóźniam się z jakimiś pracami, to nie dlatego, że mam za mało wydajny procesor lub za mało pamięci (RAM w komputerze, nie w głowie). Kiedy w 2008 roku kryzys ekonomiczny osiągał swoje apogeum, Barack Obama w USA i Angela Merkel w Niemczech bez umawiania się ratowali gospodarkę, dofinansowując pro-

¹³ Tamże, rozdz.10, zwłaszcza s. 348.

¹⁴ Kiedyś na krótko z inspiracji agendy Unii Europejskiej znalazłem się w gronie osób, których zadanie określono jako mainstreamowanie „dobrych praktyk” i innowacji w edukacji.

dukację samochodów¹⁵. A przecież w tych krajach jest już i tak za dużo samochodów. Bodaj w Stanach średnio co trzy lata kupuje się nowy samochód. Starsze jadą do Meksyku, zaś starsze z Niemiec jadą do Polski. Jednak także w Polsce jest już za dużo samochodów. Widać to w Warszawie w godzinach szczytu. Gdyby połowę kierowców przesadzić na rowery, a powiedzmy 30 procent do tramwajów (niech zostawiają samochody na bezpłatnych parkingach na obrzeżach miasta), to zapewne w Warszawie podróżowałoby się szybciej, zdrowiej, a być może i bezpieczniej po wydzielonych dla rowerów pasach. Niedawno, po dziesięciu latach użytkowania wymieniłem pralkę na nową tej samej marki. Powiedziano mi, że nowa już nie wytrzyma tak długo. Pracować będzie pięć, najwyżej siedem lat. Oprócz tego nowo wyprodukowanych pralek już się tak nie naprawia jak kiedyś. Raczej wymienia na nowe. A przecież to marnotrawienie pracy ludzkiej i materiałów. I jedno, i drugie można by wykorzystać lepiej gdzie indziej. Wzrost gospodarki stał się, jak wiadomo, fetyszem, ale nie zawsze łatwo wskazać, co z tego mamy. Typowym argumentem jest to, że wzrost produkcji i postęp techniczny poprawiają jakość życia. Dobrze wiadomo, że nie zawsze tak jest. Wzrost gospodarczy coraz więcej kosztuje, coraz kosztowniejsza do powstrzymywania staje się łącząca się z nim degradacja środowiska, a korzyści z niego są nieoczywiste. Nawet komputery, gdzie postęp jest tak spektakularny i oczywisty, mają coraz więcej mocy, są coraz lżejsze, ale coraz bardziej zajmują się sobą. Coraz więcej pamięci wykorzystują jakieś programy rezydentne, sterowniki, pliki cookies i te, które przed nimi chronią, i jeszcze zapory, antywirusy i programy, które mają sprawdzać i poprawiać wydajność procesora. Jest coraz więcej update'ów i upgrade'ów, natarcywych reklam i namolnych programów, które mają przed nimi chronić. Ludzie lubią mieć coraz nowsze i doskonalsze produkty, lubią zmianę, ale lubią też stabilne sytuacje i kiedy z rana wszystko jest takie samo i działa tak samo, jak dnia poprzedniego.

Często podawanym uzasadnieniem wzrostu gospodarczego jest zadłużenie i zagrożenie bezrobociem. Jednak od lat sześćdziesiątych zeszłego wieku gospodarka w krajach najzamożniejszych, najbardziej rozwiniętych, mimo okresowych załamań mocno wzrosła. Tak jest w USA od czasów Reagana i Clintona, i tak było w Europie Zachodniej, a nawet w Japonii. A jednak mimo wzrostu zamożności, zadłużenie budżetu rośnie i osiąga katastrofalne rozmiary. Mamy coraz więcej pieniędzy w budżecie, ale wydajemy jeszcze więcej i zaciągamy coraz większy dług przekraczający czasem wielkość budżetu. Dotyczy to państw, miast i stanów (Kalifornia). Za czasów Clintona wydawano na służbę zdrowia, edukację, zbrojenia i wojsko tylko tyle pienię-

¹⁵ Przez bezpośrednie dofinansowywanie, skup starych samochodów. Chodziło o to, jak mówiono, że jedno miejsce pracy w przemyśle samochodowym pociąga za sobą trzy inne – w branżach z nim kooperujących.

dzy, ile było w budżecie. Wygląda tak, jakby wzrost gospodarczy generował wydatki jeszcze szybciej rosnące od samego wzrostu. Albo tworzył coraz większe oczekiwania i presję rozmaitych grup ludzkich. Bez wątpienia szybki postęp w medycynie i leczeniu pociąga za sobą wzrost kosztów szybszy niż wzrost gospodarczy. I to jeszcze można zaakceptować. Ale czy wzrostowi gospodarczemu w tempie, powiedzmy 3 procent rocznie, musi koniecznie towarzyszyć wzrost wypłat socjalnych, wydatków na edukację czy wojsko w tempie wyższym niż 4–5 procent rocznie, kiedy w tym samym czasie ogólna pula dóbr i usług, mieszkań, domów, jedzenia i autostrad także znacznie wzrosła? Tak czy owak wygląda na to, że wzrost gospodarczy nie obniża zadłużenia, a raczej je zwiększa. Wiele wskazuje na to, że sam wzrost gospodarczy i skojarzony z nim postęp techniczny i społeczny kosztują coraz więcej. Przyjmuje się, że „produkcja wiedzy” jest coraz ważniejszym czynnikiem wzrostu. Gdzieś czytałem, że badania nad produkcją wiedzy rosną jeszcze szybciej niż sama produkcja wiedzy, chociaż produkcja wiedzy wyrażająca się liczbą patentów, publikacji, cytowań i innowacji rośnie także zatrważająco szybko.

Za wzrostem gospodarczym przemawiają jeszcze dwie racje: praca i konkurencja światowej gospodarki. Jeśli nie będziemy konkurencyjni i efektywni, to wypadniemy z rynku – na taki argument nie znam dobrej odpowiedzi w tej właśnie logice. Są wprawdzie cła zaporowe, gospodarka autarkiczna i Japonia, która radzi sobie od wielu lat prawie bez wzrostu gospodarczego...

Jeśli natomiast chodzi o pracę: praca jest. Jest wiele rzeczy do zrobienia. Jeśli nikt ich nie robi, to dlatego, że nikt za to nie chce płacić. Rynek ma wyceniać ludzkie potrzeby i określać wartość pracy służącej do ich zaspokojenia. Jeśli potrzebna praca, zadania warte zrobienia nie są robione, to winny jest rynek. Źle działa mechanizm rynkowy, nie wyceniając działań, które są ludziom potrzebne i na zdrowy rozum więcej warte od innych opłacalnych rynkowo. Mamy dużo samochodów osobowych, dużo za dużo, a produkuje się ich jeszcze więcej i to coraz więcej terenowych SUV-ów. To powoduje zanieczyszczenie środowiska, wzrost konsumpcji droższej ropy. A większość nowych, luksusowych marek handluje raczej prestiżem i władzą niż wartością użytkową. Co komu po tym, że ma samochód z dwiema strefami klimatyzacji, skomputeryzowany tak, że dopiero po tygodniu można opanować połowę dostępnych funkcji. Kiedy w godzinach szczytu widzę w korkach zablokowane i blokujące przejazd coraz większe samochody, w których siedzi zwykle jedna osoba, to myślę, że warto by to zmienić. Zamiast dwu samochodów terenowych postawić jeden minibus (zajmuje mniej miejsca, a zmieści się w nim osiem osób). I część kierowców rozwiązać niemal w te same miejsca, w które dojechaliby własnymi samochodami. Zaś prestiżem i władzą (które mają symbolizować terenowe SUV-y) można handlować za pomocą towarów mniej utrudniających życie innym. Oczywiście wprowadzenie takich czy im podobnych zmian, przebudowa dróg, ścieżki rowerowe – wszystko to wymaga pracy, która nie jest

wyceniana przez rynek. Ale czy nie lepiej byłoby dla większości mieszkańców „przenieść” część godzin pracy (dobrze opłacanej) z produkcji samochodów na przystosowanie miasta do ruchu rowerowego czy na inne sensowniejsze w dalszej perspektywie zajęcia? Oczywiście to przykład wymyślony, ale czy rynek sterowany coraz absurdalniej kreowanym popytem nie mógłby opłacać prac bardziej sensownych i użytecznych społecznie. Przecież ludziom można wmówić wszystko. I to, że potrzebny im samochód do jazdy terenowej w kraju, gdzie wszystkie drogi pokryto już asfaltem. I to, że powinni mieć świeży oddech i kształcić się przez całe życie (*life long learning* – poetyka programów Unii Europejskiej). I to, że powinni być piękni, młodzi, innowacyjni i kreatywni. I to, że umiejętności komunikacyjne liczą się coraz bardziej i że trzeba komunikować i komunikować się bez żadnego opamiętania... Może więc można by wmówić ludziom opłaty za ścieżki rowerowe. Za takim myśleniem o pracy stoi rozumowanie, które można by tak oto przedstawić. Kiedy myślimy o polityce społecznej, o wyrównaniu czy poprawie sytuacji jakichś grup ludzi, o wszelkich polepszeniach i ułatwieniach odpowiadających czymś oczekiwaniom, o rzeczach, które na pewno będą potrzebne w przyszłości a które zrobione wcześniej zawsze kosztują taniej, to zawsze myślimy o pracy do wykonania, na którą brakuje pieniędzy. Kiedy porównujemy te sprawy do załatwienia z towarami, z produkcją na rynku, na którą były pieniądze, a które w dość już powszechnym (ale i rozumiejącym) odczuciu wydają się mniej potrzebne, wówczas można przyjąć, że rynek źle działa. Jest marnotrawny i niesprawny w alokowaniu pieniędzy i wycenianiu zadań i potrzeb. Przy czym nie chodzi tylko o nierówności, o przesunięcie pieniędzy z produkcji dóbr luksusowych na brakujące dobra powszechnego użytku. Chodzi też o marnotrawną produkcję w celu utrzymania miejsc pracy, o całą gamę kosztownych tricków i sztuczek zmierzających do sprzedaży rzeczy nie bardzo potrzebnych, do zastępowania rzeczy nie bardzo zużytych nowymi. Chodzi też o cały sektor (medialny i niemiedialny) tworzenia informacji, komunikowania, fanu, rozrywki i sportu. Można bawić się, handlować emocjami za mniejsze pieniądze. Także prestiż, status, wyróżnianie się, za które płacimy, przede wszystkim kupując towary luksusowe, być może można by rozdzielać w sposób mniej marnotrawny, niż czyni to rynek.

Niepozbowiony absurdów jest także sektor finansowy pozornie przeznaczony tylko do obsługi gospodarki. Firma coś produkująca, która chce inwestować, wypuszcza obligacje, by zdobyć pieniądze na inwestycje. Do tego pojawia się firma handlująca obligacjami. Wchodzi na giełdę i sama z kolei emituje akcje. Jej akcjami handlują fundusze inwestycyjne. Wreszcie są też fundusze i firmy ubezpieczeniowe, które za opłatą lokują nasze pieniądze w najlepszych funduszach inwestycyjnych polskich i zagranicznych. W ten sposób nad jedną firmą coś produkującą nadbudowuje się cały system instytucji i operacji finansowych. Są już kraje (bodaj Islandia, Cypr), gdzie w systemach

finansowych (do obsługi gospodarki), w akcjach, obligacjach, lokatach i innych papierach jest znacznie więcej pieniędzy niż wynosi ich PKB¹⁶. Na akcjach i innych papierach wartościowych ich posiadacz-ciułacz może zawsze stracić. Zawsze zyskuje tylko cała kasta ludzi zarabiających na obiegu pieniądza. Jeśli jest za dużo prawników – cena usługi prawnej spada. W sektorze finansowym nie widać takiej zależności; im więcej ludzi w nim pracuje, tym lepiej zarabiają. Zaś innowatorów i innowacji jest tam stanowczo za dużo.

To, co powyżej piszę o finansach, komputerach, samochodach i rowach, to tylko przykłady, które pewnie można kwestionować. Nie jestem też przeciwnikiem konkurencji i mechanizmu rynkowego, chcę tylko powiedzieć, że potrzebna jest zmiana myślenia o ekonomii, finansach i wzroście gospodarczym.

Znaczenia demokracji

O dysfunkcjach gospodarki i rozdętego systemu finansowego pisze się tak wiele i tak często, że nie ma potrzeby tego powtarzać. Wystarczy powiedzieć, że związek wzrostu gospodarczego z działaniem demokracji i jakością życia nie jest oczywisty. Demokracja niekoniecznie lepiej działa, kiedy jest wzrost gospodarczy, niż kiedy go nie ma i ludziom niekoniecznie żyje się lepiej. Kiedy rośnie gospodarka, zamożność i postęp, ludzie żyją dłużej, mają większe telewizory, ale też są coraz grubszy i często – bardziej sfrustrowani. Czy na pewno żyje się im lepiej? Rozwój gospodarczy nie tworzy automatycznie bardziej demokratycznych form życia i odwrotnie – zdaniem wielu demokratyczny proces niekoniecznie jest efektywniejszą formułą tworzenia wzrostu gospodarczego aniżeli przesuwanie decyzji w stronę ekspertów, technokratów i autokratów.

O demokracji polskiej w miarę jej praktykowania, jak się zdaje, upowszechnia się w Polsce coraz bardziej przekonanie, czasem półświadome niewyznawane *explicite*, że nie sprzyja ona, a raczej nawet przeszkadza podejmowaniu trafnych decyzji czy to w samorządzie, czy w państwie. Proces demokratyczny – konieczność uwzględniania opinii publicznej, interesów, partycypacja, inkluzja – nie tylko spowalniają podejmowanie decyzji, ale czynią je mniej adekwatnymi wobec interesów ogółu czy priorytetów przyszłości. Lepsze są zdaniem wielu decyzje podejmowane przez elity pod kontrolą ekspertów, ów technokratyczny paternalizm. Jeśli myślimy o ekonomii, to już teraz widać, że demokracja nie jest warunkiem koniecznym rozwoju gospodarki rynkowej, ba, może nawet nie sprzyjać szybkiemu wzrostowi.

Z drugiej wszakże strony uważa się, że ciągle za mało jest demokracji, zwłaszcza demokracji bezpośredniej, partycypującej. Nasila się poczucie bez-

¹⁶ J. Wilkin, *Dlaczego ekonomia straciła duszę*, „Gazeta Wyborcza”, 20 grudnia 2013.